

**„Jak diabeł Smolipysk most przez Wieprz zbudował” (str. 107 – 111)**

Wyjechali ze wsi tuż przed świtaniem, w trzy wozy płodami roli wyładowanymi. Zdążyli na jarmark do niedalekiego miasta. Wieźli wory ziemniaków, buraków, twarogłowej kapusty, połyskującej złotem cebuli, zielonych ogórków, czarnej rzepy i co tam jeszcze pole im obrodziło. Pierwszym wozem jechał stary Klimek ze swoją kobietą, która na sprzedaż wiozła w koszu białutkie sery i jajka. Na drugim siedział Szymon, trzecim powoził jego kum, Stanisław. Konie szły równo, parszając często, bo poranny chłodek do nozdrzy im się dobierał. Koła poskrzypywały nieco w piaszczystych koleinach, budząc tym polne świerszcze. Jechali i rozmyślali, jak to jest? Niby do Lewartowa i niezbyt daleko, ale jechać trzeba długo, bo miasto od ich gospodarstw oddziela Wieprz. Rzeka nawet niezbyt szeroka, ale pełna zakoli z wysokimi brzegami i licznymi wirami w głębokim nurcie.

— Ech — westchnął Klimek, gdy na chwilę zatrzymali się, wyjechawszy z lasu. — Do miasta mamy blisko, że choćby sierpem dorzucić, a jechać trzeba daleko.

— Brakuje mostu, choćby i byle jakiego, mielibyśmy bliżej — dorzucił Stanisław, poprawiając obluzowaną uprząż.

— Most by się tu ani chybi przydał — włączył się Szymon - o połowę krócej byśmy na jarmark jechali.

— Dobrze gadacie, ale po próżnicy — uciął rzecz Klimek. - Mostu nie ma i jechać nam trza dokoła.

— A gdyby tak most kto zbudował? — nic dawał za wygraną Szymon.

— E tam. Nie znajdzie się taki, a nawet gdyby, to nie wiadomo ile by za to chciał. Bo most potrzebny, nawet bardzo potrzebny.

Całej tej gospodarskiej pogwarce przysłuchiwał się z za krzaka diabeł Smolipysk, boć to wiadomo, że czart, nawet nieposiany, zawsze wjeździe tam, gdzie się ludziska wadzą albo frasują. Wylaź więc z za krzaka i powiada:

— Ja wam tu most galanty zbuduję.

— Ty? — zdziwili się wieśniacy. — A ktoś ty taki, panie budowniczy? Albo to potrafisz coś takiego pobudować? A może przechwalasz się tylko?

— Potrafię i w dodatku mam wszystko, co do tego niezbędne. Zdrowe drewno, narzędzia, no i sposoby przeróżne, aby szybciej zbudować.

Zaciekawili się rolnicy. Zaciekawili się też ich baby, aż chustki pozsuwały, aby lepiej słyszeć, co nieznajomy prawi.

— A ile ty byś chciał, panie, za taką robotę? — rzeczowo spytał Klimek — bo u nas grosza przyskąpo.

— Nie tak drogo, jak myślicie. Pieniądzy waszych mi nie trzeba, zresztą i tak by wam ich nie wystarczyło.

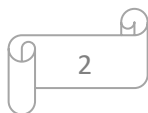
— Czego zatem za most byś zażądał?

— Dusz waszych mi potrzeba, nie pieniędzy. Diabeł jestem, Smolipysk. A most swoją piekielną mocą w mig wam tu wyręchtuję i zobaczycie, jak dobrze będzie wam służył. Zapiszczały przerażone kobiety, bo wiadomo, z diabłem nie żarty. Może być kiepska sprawa. Zaczęły się żegnać, biadolić i zdrowaśki klepać.

— Cichajcie, baby! — zgromił je Klimek, bo właśnie przyszła mu do głowy myśl, żeby znaleźć jakiś sposób i diabła oszukać. Niech most zbuduje, a później się zobaczy. Mrugnął porozumiewawczo na pozostałych i powiada:

— Możemy się jakoś ugadać. Będziemy wracać z jarmarku przed wieczorem. Czeka tu na nas, to razem coś uradzimy.

Ruszyli dalej ku miastu, diabeł wrócił za swój krzak.



— Coś ty, Klimek, narobił najlepszego? — zakrzyczeli go współtowarzysze podróży. — Diabła nam na kark napytałeś. Jeszcze jakieś nieszczęście z tego wyniknie, ani chybi...

— Nie turbujcie się, moiściewy. Już ja coś wymyśliłem, żeby wszystko na dobre wyszło.

Uspokojeni odbywali podróż. Na lewartowskim rynku zostawili swoje kobiety przy wozach, a sami poszli do księdza na plebanię. Tam Klimek opowiedział wszystko, co im się przydarzyło, i o radę poprosił Zadumał się stary proboszcz. Pacierze ze dwa to trwało, ale w końcu rozpogodził się i rzecze:

— Niech czart most buduje, bo dobrej sprawie będzie to służyło. I do miasta, i do kościoła ci zza Wieprza będą mieli bliżej. A na złęgo też się z boską pomocą jakiś sposób znajdzie — i tu uśmiechnął się znacząco. Odwołał Klimka na bok i coś mu tern przez dłuższą chwilę klarował.

Na powracających z jarmarku diabeł już czekał.

— No i co? Jak z tym mostem będzie? I z waszymi duszami?

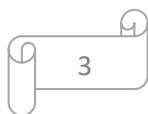
— Będzie, jak ma być. Buduj most, a my ci wszystko, co zechcesz podpiszemy. A kawałek papieru na cyrograf masz? A butelkę z inkaustem? — dopytywał się Stanisław.

— Nie, tego nie mam — zafrasował się Smolipysk. — No, widzisz, gamoniu Jeden — odezwał się Szymon, ale po prawdzie rad był z takiego obrotu sprawy. — To jak cyrograf spiszemy?

— Ja wiem — rzekł twardo Klimek. — Tutaj, na tym wielkim liściu łopianu, co pod dębem wyrósł, sosnową igłą wszystko spiszemy. Calutki cyrograf, jak go sam podyktujesz. A podpiszemy ci wszystko własnymi palcami na tej płyciźnie Wieprza, co stoi w zakolu. Na wieczny czas, póki wody w rzece stanie, póki ten dąb, spod którego liść łopianu urwałem, trwać będzie, póty nasze pismo i podpisy ważne będą.

— Zgoda — powiedziało diablisko, nie przeczuwając podstępny.

— Głupie chłopy — pomyślał — dały się wziąć na moją sztuczkę. Zaraz też siedli do pisania. Na liściu sosnową uschniętą kolką



wyskrobał całą treść Szymon, bo w pisaniu bieglejszy był od Klimka. Potem złożyli swe podpisy na spokojnym tym razem lustrze wody w Wieprzu. A Smolipysk co rychlej zabrał się do roboty. Naściągwał krzepkich dębczaków na podpory, do tego sosnowych bali i desek na jezdnię. Rogami otwory wiercił, kopytem stosowne kolki wbijał i niezadługo most stanął jak należy, białym, świeżym drewnem pachnący.

— No, to mamy już wszystko ugadane, zrobione i załatwione — ucieszył się czart.

— Nie całkiem — odparł Klimek — most ma tu stać i służyć nie tylko nam, ale wszystkim ludziom. A ty go będziesz strzegł i naprawiał w razie potrzeby.

— A później? — zapytał Smolipysk.

— Później wszystko będzie zgodnie z cyrografem i umową.

— I nie przechytzycie mnie?

— A dalibyśmy radę takiego diabła przechytzyć? — spytał z głupia frant Stanisław.

— No, chyba nie — odparł zadowolony syn piekieł, bo uznał to za komplement.

— Więc widzisz sam. Dokąd most będzie stał, nic ci nie grozi z naszej strony — zapewnił Klimek. — Staraj się więc i troszcz o niego należycie.

Jakoś chyba w połowie wyznaczonego terminu zebrali się gospodarze znowu we trzech, poszli do leśniczego i za jego zgodą wycięli dąb, spod którego pochodził liść łopianu z zapisanym cyrografem. Zrobili piękny, dębowy krzyż i niedaleko wjazdu na most postawili.

Po siedmiu latach przyszedł Smolipysk do Klimka.

— Dawajcie swe dusze, chłopy — zakomenderował.

— A cyrograf? — Spytał rzeczowo Klimek. — Masz ten liść? Sięgnął Smolipysk do diabelskiej kieszeni w starych pludrach a tu z liścia jeno odrobina zetłatego prochu została.

— Nie mam. Liść mi w kieszeni na nic zetłał. Ale przyobiecaliście, że dopóki ten dąb będzie stał, co pod nim łopian rósł, dopóty cyrograf będzie ważny.

— A gdzie masz ten dąb, piekielna gadzino? — spytał Szymon.

— Tu rósł, ale go nie widzę.

— To posłuchaj, nie ma dębu, nie ma liścia, nie ma ważnego cyrografu. Idź zatem do wszystkich diabłów, piekielna poczwaro!

— skwitował sprawę Klimek.

— Ale mam wasze podpisy — upierał się czart.

— Gdzie je masz?

— Tam, gdzie je złożyliście. Na tej płyciźnie rzeki, tuż koło mostu.

— No to je pokaż na dowód.

Pognał Smolipysk pod most, ale migiem wrócił, bardzo zmarkotniały.

— Znalazłeś?

— Nie ma ich, ino czysta woda płynie.

— No to nie dostaniesz naszych dusz.

Zeźlił się bies i krzyczy:

— Cały most wam rozwalę! Całą swoją robotę zniszczę! Nie będzie mostu! Nie będzie!

— No, to popróbuj — rzecze spokojnie Szymon, bo już wcześniej zrobili to wszystko, co im przed laty stary proboszcz nakazał. Wraca diabeł do mostu, patrzy, a tu z każdej strony stoi stągiewka z wodą święconą. Co chce krok do mostu postąpić, to go woda o sto kroków odrzuca i nijak zbliżyć się nie pozwala. Próbował raz, drugi, próbował cały miesiąc, rok, ale nic z tego. A wszyscy przechodnie i przejezdni przed mostem się zatrzymywali, z trawy wiechetki sobie robili, w święconej wodzie je maczali, jezdnię skrapiali i tak spokojnie na drugi brzeg się przeprawiali.

Most przez wiele lat służył. O tym, jak powstał i jak został uratowany przed zniszczeniem, wszyscy zapomnieć zdołali. Aż pewnej zimy mróz nastał okrutny, cały Wieprz do cna lodem



skuło, a na wiosnę woda przyszła wysoka, wielka kra ruszyła i most ze sobą zabrała. Tylko nie wiadomo, czy to była diabelska sprawka, czy po prostu siły przyrody przypadkiem most zniszczyły. O tym wszystkim opowiedział mi kiedyś najstarszy wieśniak w okolicy, który to od swego pradziadka, małym brzdącem będąc, przed wieloma laty usłyszał. Dziś tam po moście i śladu nie ma, a w zakolu Wieprza wiry kręcą niebezpiecznie. Niektórzy wtedy powiadają, że to ze złości Smolipysk wodę ogonem bełcze i miejsce to czortowskim zakolem nazywają. Podobno też od tamtego czasu powstało powiedzenie o niespełnionych obietnicach, że są palcem na wodzie pisane.

